

Astrid usłyszała Sama, zanim go zobaczyła. Perdido Beach zawsze było małym sennym miasteczkiem, a teraz przez większość czasu panowała tu cisza niczym w kościele. Sam przemierzał dom, wołając ją po imieniu w kolejnych pomieszczeniach.

– Sam! – krzyknęła. Nie usłyszał jej jednak do chwili, gdy otworzył tylne drzwi i wyszedł na taras.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by wiedzieć, że stało się coś strasznego. Sam nie umiał ukrywać swoich uczuć, przynajmniej nie przed nią.

– Co jest? – spytała.

Nie odpowiedział, tylko przeszedł przez zachwaszczony, nierówny trawnik i ją objął. Przytuliła się do niego, cierpliwa, wiedząc, że wszystko jej opowie, gdy tylko będzie mógł się na to zdobyć.

Zanurzył twarz w jej włosach. Jego oddech owionął kark Astrid, połaskotał ją w ucho. Cieszyła się, czując jego ciało przy swoim. Cieszyła się, że potrzebował jej bliskości. A jednak w tym uścisku nie było nic romantycznego.

W końcu ją puścił. Podeszedł do huśtawki, by wyręczyć ją w bujaniu małego Pete'a, zdawało się, że potrzebuje jakiejś fizycznej czynności.

– E.Z. nie żyje – oznajmił bez ogródek. – Jeździliśmy po polach z Ediliem. Ja, Edilio, Albert i E.Z., którego zabraliśmy, żeby było weselej. Wiesz. Był z nami bez żadnego powodu, po prostu chciał jechać, a ja się zgodziłem, bo mam wrażenie, że ciągle mówię wszystkim nie, nie i nie, a teraz on nie żyje.

Popychał huśtawkę mocniej niż ona. Mały Pete omal nie spadł w tył.

– O Boże. Jak to się stało?

– Robaki – odrzekł z przygnębieniem. – Jakieś dżdżownice. Albo węże. Nie wiem. Na blacie kuchennym leży taki jeden, martwy. Liczyłem, że ty... Nie wiem, na co liczyłem. Wydaje mi się, że jesteś specjalistką od mutacji. Mam rację?

Zdanie o specjalistce wypowiedział z cierpkim uśmiechem. Astrid nie była specjalistką w żadnej dziedzinie. Była po prostu jedyną osobą, której chcieli się podjąć próbę usystematyzowania wydarzeń w ETAP-ie w sposób naukowy.

– Bujaj go dalej – zakomenderowała Astrid, wchodząc do domu.

Znalazła stworzenie w foliowym woreczku na blacie w kuchni. Wyglądało bardziej jak wąż niż dżdżownica, ale z pewnością nie było zwykłym wężem.

Ostrożnie nacisnęła folię, w nadziei, że to coś naprawdę nie żyje. Rozłożyła na granitowym blacie płachtę woskowanego papieru i wyrzuciła na nią dżdżownicę. Otworzyła szufladę i wyciągnęła taśmę mierniczą, po czym nie bez trudu ułożyła ją przy wykręconym stworzeniu.

– Dwadzieścia osiem centymetrów – zanotowała w pamięci. Następnie znalazła swój aparat fotograficzny i zrobiła kilkanaście zdjęć ze wszystkich stron, po czym za pomocą widelca włożyła gigantyczną dżdżownicę z powrotem do foliowego woreczka.

Skopiowała zdjęcia do laptopa. Przeciągnęła je do folderu opisanego jako „Mutacje – Zdjęcia”. Zawierał dziesiątki fotografii. Ptaki z dziwnymi pazurami lub dziobami. Węże ze skrzydełkami. Kolejne zdjęcia ukazywały większe węże z dłuższymi skrzydłami. Jedno, zrobione z pewnej odległości, zdawało się przedstawiać grzechotnika wielkości małego pytona ze skórzastymi skrzydłami ogromnymi jak u orła. Miała też niewyraźne zdjęcie kojota dwa razy większego od zwykłych kojotów. I zbliżenie martwego kojocięgo pyska, w którym znajdował się dziwnie skrócony język o przerażająco ludzkim wyglądzie. Była też seria groteskowych plików .jpg z kotem, który stopił się w jedno z książką.

Inne zdjęcia przedstawiały dzieciaki, w większości wyglądające normalnie, choć chłopak zwany Orkiem kojarzył się nieco z potworem. Miała fotografię Sama, z którego rąk tryskało zielone światło. Nie cierpiała jej, bo Sam miał bardzo smutny wyraz twarzy, gdy demonstrował swoją moc przed obiektywem.

Astrid otworzyła zdjęcia i użyła funkcji zbliżenia, by lepiej się im przyjrzeć.

Do pomieszczenia wszedł mały Pete, a w ślad za nim Sam.

– Spójrz na ten pysk – powiedziała oszołomiona Astrid.  
Otwór gębowy stworzenia wyglądał jak u rekina. Nie dało się policzyć tych setek małych ząbków. Zdawał się uśmiechać, nawet martwy.

– Dżdżownice nie mają zębów – stwierdziła dziewczyna.  
– Nie miały. Teraz mają – odparł Sam.  
– Widzisz te wyrostki ze wszystkich stron jej ciała? – Zmrużyła oczy i jeszcze bardziej przybliżyła obraz. – Wyglądają jak, no nie wiem, miniaturowe płetwy. Jak kończyny, tyle że maleńkie i są ich tysiące.

– Włazły do wnętrza E.Z. Myślę, że przedostały się przez jego ręce. Przez buty. Przez jego skórę.  
Astrid zadrżała.  
– Te zęby przewierciłyby się przez wszystko. Odpychają się tymi nóżkami, kiedy już się znajdują w ciele ofiary.  
– Na tym polu są ich tysiące – powiedział Sam. – E.Z. tam wszedł i go zaatakowały. Ale ja, Albert i Edilio zostaliśmy, nie weszliśmy na pole, a one zostawiły nas w spokoju.  
– Terytorialność? – Astrid zmarszczyła brwi. – Bardzo niezwykle u prymitywnych zwierząt. Terytorialność to zwykle cecha wyżej rozwiniętych stworzeń. Terytorialne są psy, a nie dżdżownice.  
– Traktujesz to bardzo spokojnie – zauważył Sam niemal oskarżycielskim głosem.  
Popatrzyła na niego i wyciągnęła rękę, by delikatnie odwrócić go od tego straszego obrazu, zmuszając go, by w zamian popatrzył na nią.  
– Nie przyszedłeś do mnie, żebym uciekła z krzykiem i żebyś mógł pokazać, jaki jesteś dzielny i opiekuńczy.  
– Nie – przyznał. – Przepraszam. Masz rację. Nie przyszedłem do Astrid, swojej dziewczyny. Przeszedłem do Genialnej Astrid.  
Astrid nigdy nie przepadała za tym przezwiskiem, ale je zaakceptowała. Zapewniało jej jakieś miejsce w oszołomionej, przestraszonej społeczności ETAP-u. Nie była Brianną, ani Dekką, ani Samem, kimś obdarzonym wielką mocą. Miała swój mózg i umiejętność myślenia w sposób uporządkowany, gdy było to konieczne.  
– Przeprowadzę sekcję i zobaczymy, czego się dowiem. Dobrze się czujesz?  
– Jasne. Dlaczego nie? Dziś rano byłem odpowiedzialny za 332 osoby. Teraz odpowiadam tylko za 331. Jakaś część mnie niemal myśli: dobra, jedna gęba mniej do wykarmienia.  
Astrid nachyliła się i lekko pocałowała go w usta.  
– Tak, kiepsko być tobą – powiedziała. – Ale nie mamy innego ciebie.  
W odpowiedzi zobaczyła słaby uśmiech.  
– To co, mam się zamknąć i wziąć do roboty? – spytał.  
– Nie, nigdy się nie zamykaj. Mów mi wszystko. Mów mi, co chcesz.  
Spuścił spojrzenie, uciekając przed kontaktem wzrokowym.  
– Wszystko? Dobra, co powiesz na to: spaliłem ciało E.Z. Spaliłem te zmasakrowane szczątki, które zostawiły dżdżownice.  
– On nie żył, Sam. Co miałeś zrobić? Zostawić go ptakom i kojotom?  
Skinął głową.  
– Tak. Wiem. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że kiedy się palił... pachniał jak pieczone mięso, a ja... – Zamilkł, nie mogąc mówić dalej. Poczekała, aż zapanuje nad emocjami. – Martwy szóstoklasista się palił, a mnie pociekła ślina.  
Astrid mogła to sobie z łatwością wyobrazić. Jej też ciekła ślina na samą myśl o pieczonym mięsie.  
– To normalna reakcja psychiczna. Ta część twojego mózgu reaguje automatycznie.  
– Tak – powiedział bez przekonania.  
– Słuchaj, nie możesz rozczulać się nad sobą, bo stało się coś złego. Jeśli poddasz się poczuciu beznadziei, zarazisz tym wszystkich innych.  
– Nie potrzebują mojej pomocy, żeby mieć poczucie beznadziei – odparł.  
– I pozwolisz mi, żebym cię ostrzygła – powiedziała Astrid, przyciągając go bliżej i jedną ręką tarmosząc mu włosy. Chciała odwrócić jego myśli od porannego nieszczęścia.

– Co? – Wydawał się zdezorientowany nagłą zmianą tematu.  
– Wyglądasz, jakbyś uciekł z jakiegoś zespołu z lat siedemdziesiątych. Poza tym –  
dodała – Edilio poprosił, żebym obciąła mu włosy.  
Sam pozwolił sobie na uśmiech.  
– Tak. Widziałem. Może to dlatego bezwiednie nazywam go Bartem Simpsonem.  
Gdy zgromiła go wzrokiem, dodał:  
– Wiesz, ta nastroszona fryzura...  
Próbował ją pocałować, ale się cofnęła.  
– O, taki jesteś mądry? – powiedziała. – A może po prostu ogolę ci głowę? Albo  
wydepiluję woskiem? Obrażaj mnie dalej, to ludzie będą cię nazywać Homerem Simpsonem,  
a nie Bartem. Wtedy zobaczymy, czy Taylor będzie robiła do ciebie maślane oczy.  
– Wcale nie robi do mnie maślanych oczu.  
– Akurat. – Odepchnęła go żartobliwie.  
– Tak czy siak, może dobrze bym wyglądał tylko z dwoma włosami – rzucił. Spojrzał  
na swoje odbicie w szklanych drzwiczkach mikrofalówki.  
– Czy znasz znaczenie słowa „narcyz”? – spytała Astrid.  
Roześmiał się. Chciał ją złapać, ale zauważył, że przygląda mu się mały Pete.  
– No a jak tam Pete?

Astrid zerknęła na braciszka, który przycupnął na kuchennym stołku i niemo patrzył  
na Sama. A przynajmniej w jego kierunku. Nigdy nie była pewna, na co malec tak naprawdę  
patrzy.

Chciała powiedzieć Samowi, co się działo z małym Petem, co zaczął robić. Ale  
chłopak miał wystarczająco wiele kłopotów. A teraz na chwilę, co się rzadko zdarzało,  
przestał się martwić.

Później znajdzie się czas, by mu powiedzieć, że osoba obdarzona największą mocą  
w całym ETAP-ie najwyraźniej... jak brzmiało właściwe określenie na to, co robił Pete?

Tracił rozum? Nie, to nie było to.

Nie istniał odpowiedni termin na to, co się działo z chłopcem. Tak czy owak, to nie był  
właściwy moment.

– Wszystko z nim w porządku – skłamała. – Znasz Pete'a.

Lana Arwen Lazar mieszkała już w czwartym domu, odkąd przybyła do Perdido  
Beach. Na początku wybrała budynek, który w miarę jej się podobał. Ale to tam złapał ją  
Drake Merwin. Potem to miejsce nie wydawało jej się już dobre.

Następnie na jakiś czas wprowadziła się do Astrid. Szybko jednak odkryła, że woli  
być sama, jedynie w towarzystwie swojego labradora Patricka. Wybrała więc dom w pobliżu  
placu. Tam jednak zbyt łatwo było do niej dotrzeć. Lana tego nie lubiła. Brakowało jej wtedy  
prywatności.

Dysponowała mocą uzdrawiania. Odkryła ją w sobie w dniu, gdy zaczął się ETAP, a  
jej dziadek zniknął. Jechali wtedy jego pickupem i po nagłym zniknięciu kierowcy samochód  
stoczył się z bardzo wysokiej skarpy. Obrażenia, które odniosła, powinny ją zabić. I niemal  
zabiły. I wtedy poznała moc, która mogła zawsze drzemać w ukryciu, gdyby nie nagła,  
straszna potrzeba. Uleczyła siebie. Uleczyła Sama, gdy trafił go pocisk. I Cookiego, gdy miał  
strzaskane ramię. I wiele innych dzieci po straszliwej bitwie w Święto Dziękczynienia.

Nazywano ją Uzdrowicielką. Wśród bohaterów ETAP-u ustępowała tylko Samowi  
Temple. Wszyscy ją podziwiali i szanowali. Niektórzy, zwłaszcza ci, których uratowała,  
darzyli ją czymś w rodzaju czci. Lana nie miała wątpliwości, że taki na przykład Cookie  
oddałby za nią życie. Dopóki go nie ocaliła, znajdował się w istnym piekle.

Ale kult i nimb bohaterki nie powstrzymywał dzieciaków przed nękaniami jej o każdej  
porze, w dzień i w nocy, w związku z każdym, najdrobniejszym nawet bólem czy  
problemem: ruszającym się zębem, skórą spieczoną na słońcu, obtartymi kolanami, wybitym  
palcem u nogi. Wyprowadziła się z miasta i mieszkała teraz w hotelu Clifftop.

Hotel stał wtulony w mur ETAP-u, nieprzebytą barierę, która ograniczała ten nowy  
świat.

– Uspokój się, Patrick – powiedziała, gdy pies szturchnął ją głową, nie mogąc doczekać się śniadania. Lana otworzyła puszkę karmy Alpo, po czym, blokując Patrickowi przejście, wyłożyła połowę zawartości na miskę na podłodze.

– Masz. Kurczę, można by pomyśleć, że nigdy cię nie karmię.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie w stanie karmić psa. Niektóre dzieciaki zaczęły już jeść psią karmę. Po ulicach kręciły się też wychudłe psy, sama skóra i kości, które grzebały w śmietnikach wraz z dziećmi, szukającymi odpadków, które same wyrzuciły parę tygodni wcześniej.

Lana była sama w Clifftop. Setki pokoi, zarośnięty glonami basen, przecięty barierą kort tenisowy. Miała balkon, z którego rozciągał się widok na plażę poniżej i zbyt spokojny ocean.

Sam, Edilio, Astrid i Dahra Baidoo – która pełniła funkcję farmaceutki i pielęgniarki – wiedzieli, gdzie jest, i mogli ją znaleźć, gdy naprawdę jej potrzebowali. Dla większości dzieciaków jednak pozostawało to tajemnicą, dzięki czemu Lana odzyskała w pewnym stopniu kontrolę nad swoim życiem.

Popatrzyła tęsknie na psią karmę. Nie pierwszy raz zastanawiała się, jak smakuje. Pewnie lepiej niż przypalone obierki ziemniaków z sosem barbecue, które jadła. Kiedyś w hotelu było pełno jedzenia. Ale na polecenie Sama Alberta ze swoją ekipą wszystko zabrał i zgromadził w sklepie Ralph's. Stamtąd Drake zdołał ukraść znaczną część kurczących się zapasów.

Teraz żywności nie było. Nawet w minibarach w pokojach, wypełnionych kiedyś pysznymi batonami, chipsami i orzeszkami. Teraz został tylko alkohol. Ludzie Alberta zostawili trunki, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić.

Lana trzymała się z dala od białych i brązowych buteleczek. Jak dotąd.

Właśnie alkohol sprawił, że znalazła się na wygnaniu, z dala od swojego domu w Las Vegas. Wykraść butelkę wódki z domu swoich rodziców, jakoby dla starszego chłopaka, którego znała.

Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja, którą zdołała wcisnąć rodzicom. Ale i tak wysłali ją na jakiś czas na ranczo dziadka na odludziu, żeby „przemyślała to, co zrobiła”. Teraz, w świecie ETAP-u, Lana była kimś w rodzaju świętej. Sama jednak wiedziała lepiej.

Patrick skończył jeść, gdy zagotowała się kawa. Lana nalała sobie filiżankę, dorzuciła słodzik i trochę śmietanki w proszku. Znalazła te rzadkie luksusy, przeszukując wózki pokojówek.

Wyszła na balkon i pociągnęła łyk.

Włączyła sprzęt stereo, odtwarzacz CD, który był w pokoju. Ktoś, zapewne jakiś wcześniejszy lokator, zostawił w środku starą płytę Paula Simona, a ona ją włączyła.

Była tam jakaś piosenka o ciemności. O miłej ciemności. Brzmiało to niemal jak zaproszenie. Puszczala ją bez końca, raz za razem.

Czasami muzyka pomagała jej zapomnieć. Ale nie ta piosenka.

Kątem oka zauważyła kogoś na plaży. Wróciła do środka i wzięła lornetkę, którą wyciągnęła z porzuconego bagażu jakiegoś turysty.

Dwoje małych dzieci, najwyżej sześciolletnich, bawiło się na kamiennym pirsie, wrzynającym się w morze. Na szczęście nie było fal. Kamienie jednak przypominały miejscami ostrza brzytwy, ostre i gładkie. Powinna... Później. Starczy już tej odpowiedzialności. Nie uważała się za osobę odpowiedzialną i drażniło ją, że się ją do tego zmusza.

Wśród mieszkańców ETAP-u rozpowszechniały się dorosłe nałogi. Niektóre niewinne, jak kawa. Inne – trawka, papierosy i alkohol – nie były już tak niegroźne. Lana wiedziała o sześciu osobach, które regularnie piły. Próbowaly nakłonić ją do leczenia kaca.

Inni wypalali trawkę z torebek, znalezionych u rodziców lub starszego rodzeństwa. Można było spotkać ośmioletnie dzieciaki, dławiące się papierosowym dymem i próbujące wyglądać na wyluzowane. Raz widziała pierwszoklasistę, który próbował zapalić cygaro.

Tego Lana uleczyć nie mogła.

Chwilami marzyła o tym, by znowu znaleźć się w chacie Jima Pustelnika.

Nie pierwszy raz naszła ją ta myśl. Często wspominała ten dziwny domek na pustyni z budzącym zdumienie trawnikiem – który teraz był już zapewne brązowy i wyschnięty. To tam znalazła schronienie po wypadku. I potem jeszcze raz, na krótko, gdy uciekła przed stadem kojotów. Sama chata doszczętnie spłonęła. Został tylko popiół. I złoto, ma się rozumieć. Złoto z zapasów Jima Pustelnika mogło stopnieć, ale z pewnością nadal było pod podłogą. Złoto. Z kopalni.

Kopalnia...

Pociągnęła duży tyk ze styropianowego kubka i sparzyła się w język. Ból pomógł jej się skupić.

Kopalnia. Ten dzień utkwił jej wyraźnie w pamięci, tak wyraźnie, jak koszmar senny, którego nie sposób zapomnieć.

Przez cały czas nie wiedziała, że ETAP oznaczał zniknięcie wszystkich dorosłych. Poszła do kopalni w poszukiwaniu pustelnika, z nadzieją, że przynajmniej znajdzie jego ciężarówkę i dojedzie nim do miasta. Natrafiła na pustelnika u wylotu sztolni. Nie żył. Nie zniknął – był martwy. A to oznaczało, że zginął przed ETAP-em.

Kojoty przyszły za nią i zaciągnęły ją w głąb kopalni.

A tam napotkała... to. Stwora. Ciemność, jak nazywały to kojoty. Ciemność.

Pamiętała wrażenie, że jej stopy są ciężkie jak cegły. Pamiętała, jak jej serce zwolniło i każde jego uderzenie przypominało cios młotem. Pamiętała przerażenie, które sięgało głębiej niż zwykły strach. I słaby, zielonkawy blask, który kojarzył jej się z ropieniem, chorobą, rakiem. Stan snu, który ją ogarnął... ciężkie powieki i pustka w umyśle, poczucie, że coś wdziera się w jej świadomość...

Chodź do mnie.

– Ach!

Zgniotła kubek. Gorąca kawa rozlała jej się na rękę. Pociła się. Oddychała z trudem. Wzięła głęboki wdech i czuła się tak, jakby aż do tej chwili nie pamiętała, jak to się robi.

To wciąż tkwiło w jej głowie, ten potwór z kopalnianej sztolni. Trzymał ją w klinczu. Czasami była pewna, że słyszy jego głos. Halucynacje, bez wątplenia. Na pewno nie sama Ciemność. Była daleko stąd. Głęboko pod ziemią. Nie mogła...

– Nie umiem zapomnieć – szepnęła do Patricka. – Nie mogę się od tego uwolnić.

Przez pierwsze dni po tym, jak opuściła pustynię i dołączyła do tego dziwnego społeczeństwa dzieci, Lana czuła niemal spokój. Niemał. Od początku miała poczucie niepowetowanej szkody, niewidzialnej rany, której umiejscowienie było nieokreślone z wyjątkiem faktu, że znajdowała się w niej, w środku.

Ta niewidzialna, nierzeczywista, niezabliźniona rana znowu się otworzyła. Na początku dziewczyna mówiła sobie, że to zniknie. Że przejdzie. Że wytworzy się psychiczny strup. Ale jeśli to była prawda, jeśli wracała do zdrowia, dlaczego z każdym mijającym dniem bolało ją coraz bardziej? Jakim cudem te straszliwy głos ze słabego, odległego szeptu przerodził się w uporczywy pomruk?

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

Ten nagłący, surowy głos układał się teraz w słowa.

– Dostaję świra, Patrick – zwróciła się do psa. – To jest we mnie i dostaję świra.